Nr. 52. Poznań, wtorek 29-go grudnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych niezwracamy.

TREŚĆ.

Zawiadomienie.

Z końcem bieżącego roku zawieszamy dalsze wydawnictwo „Przeglądu Poznańskiego“. W trzyletniem blizko istnieniu przekonaliśmy się, że dla poważnego t y g o d n i k a o charakterze polityczno-literackim nie ma w zaborze pruskim odpowiednich warunków bytu, że mianowicie t. zw. inteligencyi wyższej jest w kraju naszym za mało a ogólna niemoc finansowa zmusza często nawet tych, którzy uczuwają potrzebę lepszego pokarmu literackiego, do poprzestania na abonowaniu codziennych czasopism. Zresztą akcyonaryusze „Przeglądu Poznańskiego“, dążąc wytrwale do utworzenia wielkiej demokratyczno-postępowej partyi, nabrali przekonania, że wydawnictwo tygodniowe nie może dość skutecznie popierać interesów stronnictwa, spętane długością przestrzeni, dzielącej jeden numer od drugiego, i skazane z góry na szczuplejszą liczbę czytelników niż pisma codzienne. Mimo tych niekorzystnych warunków, ofiary finansowe, poniesione przez akcyonaryuszów „Przeglądu Poznańskiego“, nie poszły na marne i pozostawiły ślady wyraźne w społeczeństwie naszem.

Zdaje nam się, że bez przesady i bez fałszywej skromności możemy tu śmiało wyrazić przekonanie, że zasługą „Przeglądu“ jest spotęgowanie tego ruchu opozycyjnego, który obudził się w całym zaborze pruskim przeciw klerykalno-lojalnym zakusom kierujących stronnictw. I nasza działalność stała się niewątpliwie jedną z głównych przyczyn, że mury zbudowane przez miejscowe Dzienniki i Kuryery między inteligencyą demokratyczną a ruchem ludowym skruszały i coraz większemi świecą wyłomami. Ten prąd ożywczy, który od lat kilku bije z nizin narodu i wzbiera falą potężną, rozwijał się długo o własnych siłach, bo umiano go w tak ponurych obrazować barwach, że nasza wygodna, nieco apatyczna i trwożnie oglądająca się na opinię konserwatywnych gerontów inteligencya uważała go za chorobliwy objaw sztucznej agitacyi, psujący normalny rozwój stosunków poznańskich. Pod naciskiem krytyki naszej zwężył się przedział dzielący demokratyczną inteligencyę od ruchu ludowego, a gdyby nawet działalność „Przeglądu Poznańskiego“ nie mogła się wykazać żadnym innym rezultatem, prócz tego jednego, to już ofiary nasze nie były bezpłodne i warto było żyć, warto było działać.

Zdaje nam się jednak, że w rejestrach dorobku naszego historya literatury zapisze ponadto sumienną służbę w świątyni sztuki i piękna, która na poznańskiej ziemi opuszczoną była i pustą. Nie zaprzeczy nam chyba wróg najzaciętszy, że od lat wielu pismo nasze pierwsze usiłowało na kresach uprawiać ziemię pod zasiew literacki i w miejsce dotychczasowych dyletanckich zakusów stało się poważnym pośrednikiem między ruchem umysłowym Europy a naszą zamkniętą na cztery zamki prowincyą. Skupiliśmy około „Przeglądu Poznańskiego“ najwybitniejszych pisarzy polskich, nastręczaliśmy młodym talentom, mianowicie takim, które ściślejsza nasza wydała ojczyzna, sposobność wypowiedzenia się, budziliśmy krytycyzm literacki w wyjałowionych i przez fałszywych nauczycieli spaczonych umysłach, budziliśmy miłość dla sztuki tam, gdzie rozpolitykowanie społeczeństwa grozi kulturze narodowej zalewem jednostronności. I znajdzie się może garść bezstronnych krytyków, która poświęci przyjazne wspomnienie tej walce zaciętej, którą „Przegląd Poznański“ od samego początku istnienia swojego toczył z korupcyą prasy, obniżeniem ideałów etycznych i teroryzmem kliki rządzącej w kresowych prowincyach. Bicz satyry naszej był nieraz bardzo dotkliwy, lecz budził śpiących leniwców i karmił odwagą protestu tych, którzy z obawy przed gromem oligarchów poznańskich zaledwie lękliwym półszeptem rzucali słowo krytyki w bagienko naszych społeczno-ekonomicznych i politycznych stosunków. Dziś rozwiązane języki i dla każdej, choćby najsurowszej analizy, grunt uprawiony.

Mimo tych dodatnich wpływów pisma naszego, przekonaliśmy się, jak już wyżej wzmiankowano, że wydawnictwo organu t y g o d n i o w e g o na poznańskim gruncie wymaga zbyt wielkich ofiar finansowych a politycznym interesom stronnictwa tylko połowiczne oddaje przysługi. Z tego powodu zwijamy na razie „Przegląd Poznański“, dzieląc się jednak równocześnie z czytelnikami naszymi wiadomością, że usilne starania o powołanie do życia c o d z i e n n e g o p i s m a o barwie postępowo-demokratycznej są w pełnym biegu i prawdopodobnie już w niedługim czasie skutek pożądany odniosą. Nie żegnamy się zatem na zawsze. — tylko: Do widzenia!

* * *

Zawieszając wydawnictwo nasze donosimy współpracownikom „Przeglądu Poznańskiego“, że po zaległe rękopisy zgłaszać się należy aż do 15 stycznia 1897 r. do prywatnego mieszkania dr. Władysława Rabskiego (ul. Św. Marcina 22 II.) Wszelkie rachunki z korespondentami i abonentami naszymi zostaną również załatwione w ciągu miesiąca stycznia.

W sprawie ogłoszonego przez pismo nasze konkursu na pracę „O życiu i działach Karola Marcinkowskiego“ komunikujemy, że dotychczas żadna praca nadesłaną nie została i dla tego ostateczny termin nadsyłania rękopisów odraczamy do 31-go grudnia 1897 r. Na przypadek, że i w nowym terminie starania nasze plonu nie wydadzą, zlecamy panu Dr. B. K r y s i e w i c z o w i, zawiadowcy funduszu konkursowego, i panu A. N i e s i o ł o w s k i e m u z Szarleja, inicyatorowi konkursu, aby zgromadzonym kapitałem według uznania rozporządzać raczyli. Prosząc wszystkie pisma polskie o powtórzenie tej wiadomości, podajemy poniżej raz jeszcze warunki konkursu:

1) Dzieło uznane za najlepsze otrzyma 1000 marek nagrody. Fundusz ten zebrała w drodze składek redakcya „Przeglądu Poznańskiego“.

2) Dzieło winno obejmować przynajmniej 10 arkuszy druku (8-vo).

3) Dzieło winno zawierać:

a) charakterystykę społeczno politycznych stosunków W. Ks. Poznańskiego w tej epoce, w której żył i działał Karol Marcinkowski; b) życiorys Karola Marcinkowskiego i dokładną charakterystykę jego społeczno politycznych i filantropijnych dążeń i działań; c) historyę instytucyi powołanych do

życia p. Karola Marcinkowskiego lub z współudziałem jego stworzonych; d) charakterystykę wybitniejszych działaczy politycznych w Księstwie z okresu Karola Marcinkowskiego.

4) Prace nadsyłane pod adresem Dr. Bolesława Krysiewicza (Poznań ul. św. Marcina Nr. 57), powinny być bezimienne i zaopatrzone w godło, znajdujące się także na zamkniętej kopercie, zawierającej nazwisko i dokładny adres autora.

5) Ostateczny termin nadsyłania rękopisów upływa z dniem 31 grudnia 1897 r.

6) Premia uzyskana winna być przedewszystkiem użytą na ogłoszenie drukiem nagrodzonego dzieła.

7) Do składu jury konkursowej należą: pp. Bernhard Chrzanowski, Dr. Bolesław Erzepki, prof. Marceli Motty, A. Niesiołowski z Szarleja, Kaźmierz Puffke, Dr. Wł. Rabski, Dr. Józef Stasiński.



POLITYKA.

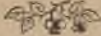
Przegląd prasy polskiej.

O ks. biskupie Koppie.

„Przegląd wszechpolski“ tak charakteryzuje działalność ks. biskupa na Szląsku austryackim:

„Rozporządzenie ostatnie jest tylko nowym objawem systemu, który ks Kopp na Szląsku austryackim stosuje. Wszystkie większe parafie polskie obsadza on zniemczonymi księżmi czeskimi a księży polaków, nie ukrywających swego patryotyzmu, prześladuje. Obecnie zabronił księżom należenia do towarzystwa, które wydaje „Gwiazdkę“, wkrótce zabroni im należenia do „Macierzy szkolnej“ i innych towarzystw narodowych, nakoniec każe im agitować i głosować na liberałów niemieckich, jak to dziś czyni generalny wikaryusz ks. Findiński.

W tej sprawie zasługuje na szczególną uwagę zuchwalstwo biskupa wrocławskiego który, będąc sam poddanym pruskim, ośmiela się ograniczać prawa obywatelskie poddanych austryackich. Oddawna już wykazywano konieczność zniesienia tej anomalii, jaką jest zależność kościelna księstwa cieszyńskiego od stolicy biskupiej w Wrocławiu. Nadarza się teraz wyborna sposobność do ponownego i pomyślnego przeprowadzenia tej sprawy, ale trudno spodziewać się, żeby Koło polskie wystąpiło energicznie i żeby zażądało od rządu położenia tamy zamachom germanizacyjnym biskupa Koppa. Coraz więcej nabiera prawdopobieństwa wiadomość, podana niegdyś przez „Głos narodu“, że przewódcy stańczyków zawarli w sprawie śląskiej układ z Niemcami i pozostawili im zupełną swobodę działania. Inaczej niepodobna byłoby wytłomaczyć dziwnej obojętności posłów polskich w sprawie śląskiej, obojętności, za którą nawet „Kraj“ energicznie Koło strofuje. „Jeżeli prawdą jest wszystko co mówił p. Lewakowski“ — pisze „Kraj“, a my dodamy, że to tylko część smutnej prawdy — to niepodobieństwem jest pojąć „dlaczego Koło polskie i rząd austryacki tolerują taki stan rzeczy? Jakież rozsądne powody przemawiają za tem, żeby chłop polski na Szląsku stanowił jedyny wyjątek w całem państwie? Jakaż wyrafinowana kazuistyka potrafi wytłómaczyć włościanom z pod Cieszyna, że nie powinni rościć sobie praw do tego, co mają w Galicyi Rusini, do tego, co ma w Galicyi każda osoba niemiecka.“



LITERATURA I SZTUKA.

Na skrzydłach marzeń.

Na skrzydłach marzeń, na skrzydłach snu
Popłyńmy w czarów kraje
Niech zawieszone na skrzydłach snu
Przed nami szczęście staje.

Na skrzydłach marzeń, na skrzydłach snu
Kołysze się królewic,
I harfa złota na skrzydłach snu
I śpiewy cudnych dziewic.

Na skrzydłach marzeń, na skrzydłach snu
Miłości czar przebywa, —
Ach! nawet przyjaźń na skrzydłach snu
Piękniejsza niźli żywa!

Na skrzydłach marzeń, na skrzydłach snu
Lśnią dni minionych dzieje,
I „dziś“ nas wabi na skrzydłach snu,
I „jutro“ nam się śmieje. —

Na skrzydłach marzeń, na skrzydłach snu
Popłyńmy w czarów kraje, —
Spojrz! już przywiana na skrzydłach snu
Zapomnień mgła nam zostaje.

Jadwiga z Ciecierskich Jasieńska.



Dwa ideały kobiece Chopina.

Było to w r. 1829. Chopin wrócił niedawno z dłuższej zagranicznej wycieczki, w czasie której zwiedził Kraków, Wiedeń, Pragę, Drezno, Wrocław. Z wycieczki tej wracał, jak sam pisze, „mędrszym i doświadczeńszym o jakie cztery lata“

W stolicy nad modrym Dunajem, w siedzibie Haydna, Mozarta, Beethovena, spotkał się genialny młodzieniec z przyjęciem bardzo serdecznem, dalekiem od tych zawodów i rozczarowań, jakie go w dalszej karyerze artystycznej spotkać miały. Z sercem, prawdopodobnie, przepełnionem nadziejami różowej przyszłości, a skutkiem tego, czulszem i wrażliwszem na wszystko co piękne, wielki poeta tonów polskich, zjechał do Warszawy, z której niebawem miał odlecieć w obce kraje, by więcej już nie wrócić...

Konserwatoryum warszawskie występowało z popisem. Przed licznie zgromadzoną publicznością ukazywali się kolejno mniej lub więcej uzdolnieni uczniowie i uczennice tej szkoły muzycznej, karmiąc uszy słuchaczy falami dźwięków harmonijnych, nie budząc jednak zbytniego zapału.

Wtem na estradę wchodzi z wdziękiem niezrównanym, dziewczę jasnowłose. Na twarzy jej, barwy róży herbacianej, wykwitły dwa lekkie rumieńce, świadczące o gorączce jaką jej ten pierwszy popis publiczny sprawiał. Długie rzęsy osłaniały wielkie, ciemnoniebieskie oczy, z trwogą spoglądające przed siebie. Pierś szybko się wznosiła.

Kaźmierz Zdziechowski.

Zielone święta.

NOWELA.

(Dokończenie).

Pan Andrzej chciał odrzec coś bardzo wesołego, chciał uśmiechnąć się, ale usta wykrzywiły mu się jak do płaczu, głos uwiązł w gardle i nie powiedział nic.

— Pan dzisiaj smutny — rzekł doń młodzieniec — niech pan co przeczyta, mam wspaniałą książkę! albo, wiesz pan co, powiem, żeby pana przeniesiono do okna. Dobrze?

— Do...brze, bar...dzo tego chciałbym — drżącym i cichym głosem odpowiedział p. Andrzej, i ucieszył się wielce tym projektem; „zobaczę domy, ulice, wielu ruszających się ludzi, niebo, słońce“, — pomyślał z radością, ale jednocześnie coś, głos mroku zaszeptał: ostatni raz. Serce ścisnęło się w panu Andrzeju od słów tych, zagłuszył je jednak i znowu z całą usilnością wpatrzył się w wązki strumień światła, za który się uczepił.

Przyszły siostry i zaczęły go podnosić; p. Andrzej zamknął oczy, żeby nie widzieć swego ciała i głównie brzucha, którego się lękał, i drżał, by któraś z jego sióstr nie wypowiedziała jakiejś uwagi o stanie jego zdrowia. Sam chciał zacząć rozmowę, ale nic mu nie przyszło do głowy, więc milczał. Straszny tępy ból rozerwał mu wnętrzności, gdy podniósł się, jednocześnie okropniejszy od bólu strach szepnął: narośl wciąż się jeszcze powiększa — ale biedny przerażony człowiek z wysiłkiem woli, aby coś powiedzieć, odezwał się: „czy jutro... czy bardzo ciepło dziś na dworze?“ — Osiemnaście stopni.

Był już koło okna. Przez chwilę skupił się i cały wszedł we wzrok. Widok rzeczy dawno niewidzianych ogłupił go, olśnił oczy, przywykłe do jednostajnej białej ściany, aż bolały od rozmaitości przedmiotów, które się cisnęły do jego źrenic. Dzień był jasny, ogniście słoneczny; niebo spływało nad miastem w powodzi błękitu ciepłego i miękkiego; czasami sunęła biała chmura, pędzona wiatrem cichym; powietrze miało woń zapachów rozlicznych i świeżość rzeki. Dachy, domy, szeregi okien, słupy kominów, wieże, kominy fabryczne, kopuły świątyń, sznury przechodniów, dorożki... Na chwilę p. Andrzejowi udzieliła się mocna radość bujnego życia: świetlego promienia, błękitu, kąpiącego się w cieple słonecznym, wiatru wonnego, idących szybko ludzi, śpieszących dorożek; zapomniał o strasznym czarnym potworze, który go osłabił; chwycił go, ścisnął, objął i ciągnął w otwór niezgłębiony, — ale tu otoczył go inny świat, świat szeroki, jasny i żywy, na który nie wyjrzy mroczny potwór. A potem nagle p. Andrzej odczuł i pojął, że nigdy już nie będzie zdrowym, ten człowiek silny, zdrowy, który tam wśród domów ulicami chodził, pracował w biurze, kochał żonę, mieszkał w 4 ciasnych pokojach, pieścił i strofował dzieci, lękał się swej zwierzchności; ten człowiek wydał mu się bardzo dalekim, jakimś obcym, który kędyś poszedł i już nie wróci; wydało mu się niemożebnem, aby on znowu wszedł w to życie, którem żył — takie to wszystko dalekie, wszystko to gdzieś pozostało! I poczuł nie strach i grozę, nie chłód i mrok, ale żałość bezmierną, żal, co jak rzeka bez granic i brzegów, wszedł mu, w piersi i serce.

„Dobra Anna, dobra, stroskana, dzieci

Wszystkich oczy zwróciły się na to zjawisko urocze. Szeptano sobie, że dziewczę nie tylko urodą króluje, ale i talentem. Stanowi chlubę konserwatoryum.

Dziewczęciem tem, budzącem uwagę była panna Konstancya Gładkowska.

Opanowawszy wzruszenie śpiewać zaczęła.

Głos jej dźwięczny, pełen uczucia, przenikał do głębin duszy. Gdy skończyła — burza oklasków była odpowiedzią na śpiew jej uroczy.

Jeden tylko człowiek nie klaskał. Wysmukły, wdzięcznej postaci, młodzieniec stał wsparty o ścianę, wpatrzony w czarowne na estradzie zjawisko. Od czasu do czasu odgarniał, nieposłuszne, na czoło garnące się, bujne włosy, przeciągał ręką po głowie, jakby w zamiarze odegnania tej rozkosznej, a zarazem prawie bolesnej myśli, jaka w mózgu powstawała, dreszczem zachwytu młodzieńca wiotkiem ciałem wstrząsała, źrenice ciemnych oczu rozszerzała, świecąc w nich niezwykłym blaskiem...

Młodzieniec ten, to Fryderyk Chopin. Niedawno jeszcze uczeń tego samego konserwatoryum, zawitał znów w jego progi, jako widz i słuchacz, jako mistrz i sędzia tych, którzy po nim świat tonów w tej uczelni muzycznej badali.

Przyszedł i — nic nie widział po za jedną postacią. Przyszedł i — nic nie słyszał po za jej śpiewem. O niczem myśleć nie mógł tylko o niej, dla nikogo serce nie biło tylko dla niej. Kochał całą potęgą pierwszej miłości, kochał całym zapałem młodzieńczego uczucia.

Wróciwszy z popisu do domu, zasiadł do fortepianu i, jak to było jego zwyczajem, w ciemnościach nocy, przebierać zaczął palcami po klawiszach, szukając w dźwiękach, ze strun płynących, wyrazu uczuć miotających jego istotą.

Miłość dla pięknej śpiewaczki zawładnęła całem jego sercem. Szukał Konstancyi wszędzie i dziwne uczucie szczęścia wzbierało w jego duszy, gdy choć z daleka mógł ujrzeć jej postać ukochaną, jej złotem lśniące włosy, jej ciemne wielkie oczy.

On, taki z natury wesoły, tak towarzyski, tak łatwo wypowiadający swe myśli, nowe uczucie swe ukrywał zazdrośnie przed oczyma ludzkiemi, nikomu o niem nie mówił i jedynie do przyjaciela swego, Tytusa Wojciechowskiego, te słowa zagadkowe w liście z d. 3 października 1829 r. kreślił**).

„Sam zapewne uznasz potrzebę mego powrotu do Wiednia, nie dla panny Blahetki, o której, o ile mi się zdaje, pisałem, bo ja już, może na moje nieszczęście, mam mój ideał, któremu wiernie, nie mówiąc z nim, już pół roku służę, który mi się śni po nocach, na którego pamiątkę skomponowałem Adagio do mojego Koncertu, który mi inspirował tego Walca dziś rano, co ci posyłam. Uważaj jedno miejsce — naznaczone. O tem nikt nie wie, prócz ciebie. Jakżeby mi było słodko zagrać ci go, najdroższy mój Tytusie!..

I dalej w tym samym liście:

„Nie uwierzysz, jak dla mnie teraz Warszawa smutna; gdyby nie to, co rodzina mi uprzyjemnia pobyt, tobym w niej nie wysiedział. O jakże to mi przykro nie módz przyjść do kogo, podzielić się z nim smutkiem, radością; jak to niegodziwie, kiedy coś cięży na sercu, a niema gdzie ciężaru złożyć! Wiesz, do czego to alluzya. Fortepianowi gadam to, cobym tobie nieraz chciał powiedzieć...“

Pannę Gładkowską ciągnęły ku sobie deski sceniczne. Wstąpiła więc na nie w ówczesnym „Teatrze narodowym“.

O pierwszym jej występie donosi Chopin przyjacielowi d. 21 sierpnia 1830 r.:

„Naprzód zajęła mnie mocno Agnese, opera Paera, bo w niej wystąpiła po raz pierwszy Gładkowska. Lepiej jest ona na scenie, jak w sali. Nie mówię o grze tragicznej wybornej, bo niema co powiedzieć; co się zaś śpiewu tyczy, żeby nie te fis i *g* u góry, nie trzebaby nam w tym rodzaju nic lepszego. Jak frazuje, tobyś się rozkoszował, a chociaż głos jej z początku trząsł się ze wzruszenia, jednak później bardzo śmiało śpiewała. Romans w drugim akcie — bardzo ładnie wykonała. Byłem zadowolony. Na końcu ją przywołano i rzęsistemi okryto oklaskami“.

Niezadowolony jest jednak z wyboru opery, w której debiutowała ukochana, gdyż kończy list słowy:

„Nie przeczę, że Soliva mógł wybrać co lepszego dla Gładkowskiej. Westalka możeby jej więcej szczęścia przyniosła...“

**) Jak ten, tak i następne ustępy listów wyjęte z dzieła Maurycego Karasowskiego „Fryderyk Chopin“. — Życie — listy — dzieła“. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1882.

Odtąd Chopin stał się teatru stałym gościem. Blady ze wzruszenia, zajmował miejsce, śledząc uważnie każdy ruch ukochanej, każdą nutę z ust jej płynącą.

Śpiewaczka zwróciła wreszcie na swego niemego wielbiciela uwagę. Często zdawała się śpiewać tylko dla niego... Chopin łowił jej spojrzenia i w chwilach tych czuł w pełni namiętną potęgę swej miłości.

Jakże szczęśliwym musiał się uczuć, kiedy nareszcie przyszedł dzień, w którym został pannie Gładkowskiej przedstawiony, kiedy mógł złożyć pocałunek na tej ręce, którą tak gorąco pragnąłby posiadać!

Nie było mu to jednak przeznaczonem!

Za występami jej śledzi wciąż z gorączkowem zajęciem i wciąż o nich w korespondencyi swej wspomina.

Tak biegną miesiące za miesiącami, wreszcie przychodzi dzień rozstania.

Zbliżająca się chwila wyjazdu z Warszawy, napełnia serce jego smutkiem... Przeczuwa, że już nie wróci, że oczy swe zamknie na wieki zdala od ziemi rodzinnej, od swoich. I tak skarży się d. 4 września 1830 r.

„Jeszcze nie próbowałem koncertu; jakkolwiek bądź, przed świętym Michałem porzucę wszystkie moje skarby i będę w Wiedniu skazany na wieczne wzdychania. Co to jest, gdy serce obałamucone? Ty, co tak dobrze znasz siłę jego, wytłomacz mi, czemu się to człowiekowi zdaje, iż dzień jutrzejszy będzie lepszym od dzisiejszego? Nie bądź głupim! — to cała odpowiedź, na jaką się zdobyć mogę; jeżeli masz inną, przyślij mi!..“

D. 11 października 1830 r. daje Chopin swój ostatni, pożegnalny koncert w Warszawie. Panna Gładkowska przyjmuje w nim udział, a następnego dnia mistrz w liście donosi:

„Soliva dyrygował potem aryę panny Gładkowskiej, biało z różami na głowie, do twarzy prześlicznie ubranej, która odśpiewała Cavatinę z La Donna del Lago z recitatiwem, tak jak (prócz aryi w Agnes), nic jeszcze nie śpiewała. Znasz to: O! quante lagrime per te versai. Powiedziała tutto detesto aż do *h* dolnego, tak, że Zieliński utrzymywał, że to jedno *h* tysiąc dukatów warte!“

Ciężkie było rozstanie. Z łzami w oczach dwoje młodych serc się żegnało. W chwili rozłąki Konstancya Gładkowska włożyła ukochanemu na palec pierścionek... Fryderyk uwoził go z sobą, jako skarb najdroższy...

---

te ciałka drobne i drogie! Dobre, kochane dobre, kochane!..“ Czy to oni wszyscy od sunęli się w tę dal, której nie może prze być, żeby się z niemi połączyć, czy to on sam tak odszedł daleko, tak niepowrotnie daleko?... I w jednej chwili, jak na obrazie, ujrzał całe biedne życie swoje, wiernie odmalowane, ze wszystkiemi szaremi plamami, przypomniał każdy szczegół najdrobniejszy, każdy sprzęt zapylony, każdą przykrość małą i radość małą — i tak to wszystko ogromnie pokochał, tak pożałował!..

Biedne było życie, nędzne: 4 ciasne pokoje, pełne brudu skutkiem bezładu Anny; ona, zapracowana, wiecznie kwaśna, co chwilę wpadająca we wrzaskliwy gniew i wtedy czerwona na twarzy; długie godziny w biurze, z których miał taki mały zarobek; ta okropna nieśmiałość, która była mu zawadą w awansach... jak często było źle, a jak mu żal tego wszystkiego, nawet tych przykrych chwil, kiedy wobec wściekłego naczelnika czerwony, zmieszany nie mógł złapać ani jednej porządnej myśli!

Poszukał wzrokiem tej części miasta, gdzie było jego mieszkanko, ale dom zasłonił mu widok żony i trojga dzieci, tulących się koło wysokiej szafy do ubrania na dziedzińcu, która stała pierwej w ich pokoju sypialnym. Wyrzucili ich z mieszkania, i z całego dobytku pozostała tylko ta szafa. I przestał siebie żałować, zapomniał o śmierci, o strachu, o chłodnym mroku, serce zatroszczyło się z udręczeniem o tę biedną garstkę, tulącą się hen — daleko koło wysokiej szafy na dziedzińcu...

Łzy już od kilku chwil spływały po jego bladych zapadłych policzkach.

— Panie Andrzeju, przyniosłem to dla pana, proszę zobaczyć, jakie piękne, z pięknych rączek to otrzymałem, — i z temi słowami student, ów wróg profesora, podawał p. Andrzejowi kilka gałązek czeremchy. Ten nic zrozumiał, kto mówił do niego i co, ale kwiaty wziął. Poczuł woń mocną, jak uderzenie w mózgu, pociemniało mu w oczach — i stała się rzecz dziwna. Niema już sali klinicznej, fotelu, okna z widokiem na miasto i chorego ze łzami w oczach; rzeczywistość zdrobniała i jest tak małą, że ukryła się w jednym z kwiatów, natomiast gałęzie te rozrosły się i zamieniły się w krzewy i drzewa. Krzewów takich jest wiele, wszystkie kwieciem przetkane, rosną nad brzegiem wiszaru, koło ławki, gdzie siedzi p. Andrzej z żoną, młodszy, zdrowy, rok temu. Choroby żadnej nie było, w klinice nigdy nie leżał; chodzi co dzień do biura, a teraz wybrał się za miasto w niedzielę. Z wiszaru w dół spada drożyna, obrosła bzem, która dotyka rzeki; za rzeką przestrzeń zielona daleko, daleko; w rzece przegląda się błękitne niebo, i ona cała błękitnie sunie całą piersią tam, gdzie zniża się słońce. Rzeka szemrze gwarem wody, krzaki, osypane kwieciem, chwieją się, a kwiaty pachną. Wszystkim jest ciepło, rozkosznie, wesoło. Dzieci u stóp wiszaru nad wodą hałasują, najgłośniej, jak zwykle, Piotruś, Anna, zapomniawszy o troskach, śmieją się, a p. Andrzejowi jest tak dobrze! Ale co to? Rzeki już nie widać, wiszaru niema, i dzieci niema, — tylko jakaś postać olbrzymia, czarna wyrasta z pod ziemi; rośnie, rośnie, a teraz zmienia się w dzwon ogromny; ten dzwon podnosi się do góry, wciąż rośnie, jest tak duży, że cały świat zakrywa, a teraz spuszcza się na p. Andrzeja powoli, powoli — ogromny dzwon, wypełniony jamą czarną... Okropny krzyk przeleciał przez salę kliniczną.

„Pan Andrzej zemdlał, felczera!“ — zawołał do siostry ktoś z chorych.

KONIEC.

Zagranicą miłość głęboka dla pięknej Warszawianki nie opuszczała go na chwilę. Tęsknił do niej całą siłą swej duszy, tak czcił, że uważał swe pióro za niegodne wypisywania jej imienia.. Niejedna piękna paryżyczka uśmiechała się w Wiedniu zalotnie do smukłego młodzieńca, nie jedne oczy pragnęły go oczarować, lecz on, swemu uczuciu był wierny... Tam, w Warszawie, zostawił swą istotę ukochaną...

Rok zaledwie minął, gdy w tem wieść niespodziewana doleciała go z kraju. Ta, którą zwał swym ideałem, którą po nad wszystko ukochał — zapomniała o nim, oddała swe serce i rękę innemu, scenę na zawsze opuściła...

Burza boleści ogarnęła jego serce. Targała niem i rwała je na strzępy. Zawiedziony w marzeniach uciekł od świata i ludzi i jak poprzednio wyrazu szczęścia i tęsknoty, tak teraz ukojenia bólu szukał w dźwiękach fortepianu. W dźwięki te raz rozdzierające jak dziki okrzyk grozy i rozpaczy, znów ciche, jak smutek tłumiony — wlewał całą swą duszę, wszystkie swe niezniszczone pragnienia, aż wreszcie klawisze zagrały cudną piosnkę:***)

Muzykantów zaproszono,
Na godach śpiewałem,
Innego zostałaś żoną
Ja zawsze kochałem.
Dziś dziewczęta mnie wyśmiały,
Gorzko zapłakałem.
Próżnom wierny był i stały
Próżno pierścień brałem...

I powoli, powoli, fala dźwięków zalewała ból serce gnębiący, niosła muzykowi ukojenie...

Minęło lat parę.

Chopina znajdujemy w Paryżu.

Po pierwszych miesiącach niepowodzeń, niedostatku i zwątpienia, sprawiających, że chciał naprzód jechać do Ameryki, następnie zaś postanowił wracać do kraju — przyszły dni jaśniejsze, dni blasku i chwały.

Wprowadzony przez Walentego ks. Radziwiłła do salonu Rotszylda, zdobywa tam swą grą, wstępnym bojem, takie uznanie, że staje się naraz głośnym w stolicy Francyi wirtuozem, najbardziej poszukiwanym gry fortepianowej nauczycielem.

W liście, pisanym w r. 1832 do przyjaciela swego z lat dziecinnych, Dominika Dziewanowskiego, tak o swych tryumfach ówczesnych donosi:

„Wszedłem w pierwsze towarzystwa, siedzę między ambasadorami, książętami, ministrami, a nawet nie wiem, jakim cudem, bom się sam nie piął. Dla mnie jest to dziś rzecz najpotrzebniejsza, bo ztamtąd niby dobry gust wychodzi: zaraz masz większy talent, jeżeli cię w ambasadzie angielskiej, albo austryackiej słyszano: zaraz lepiej grasz, jeżeli cię księżna Vaudemont (ostatnia ze starożytnego rodu Montmorency) protegowała".

Podwoje domów najwybitniejszej arystokracyi rodowej i pieniężnej otwierają się naoścież przed genialnym muzykiem, a Chopin, dla którego atmosfera salonów zawsze była nadwyraz miłą, odpowiadała jego miękkiej, wesołej, niewieściej niemal naturze, znalazł się w swym żywiole i tworzyć zaczął najpiękniejsze swe dzieła.

Wśród domów, w których Chopin częstym bywał gościem, znajdował się także dom państwa Wodzińskich.

Spotkał tu bawiącą u stryjostwa, z matką, pannę Maryę Wodzińską. Znał ją dzieckiem jeszcze, jako siostrę kolegów z pensyi ojca, profesora Mikołaja Chopina.

W ciągu lat kilku wdzięczny pączek rozwinął się w kwiat śliczny. Piękną twarz dorodnej, smukłej dziewicy otaczały sploty ciemnych włosów, a wielkie jej oczy patrzyły w dal, pełne wyrazu marzycielstwa i nieokreślonej jakiejś tęsknoty...

Zwykle zamknięta w sobie, milcząca, — wśród kółka bliższych znajomych, osób mocniej ją obchodzących, roztaczała prawdziwy czar wdzięku i słodyczy. Bywała wówczas rozmowną, wesołą, a śmiech jej serdeczny dźwięczał, gdyby srebrny dzwonek.

Ujmujące, dziecinnie niemal wdzięczne, żartobliwe, a przytem głęboko uczuciowe obejście Chopina przypadło jej niezmiernie do gustu.

Wkrótce stali się serdecznymi przyjaciołmi i ani się spostrzegli oboje, jak spokojna przyjaźń zwolna, zwolna przeradzać się zaczęła w inne, goretsze, zapalniejsze, głębsze uczucie..

Gdy Fryderyk grał, Marya siadała jaknajbliżej fortepianu, śledziła wzrokiem twarz natchnioną muzyka, uchem łowiła cudne dźwięki, rozumiała, odczuwała ich pełną uczucia bezmiernego i namiętności mowę...

Raz, kiedy byli w ścisłem kółku znajomych, Fryderyk poprosił, by co zaśpiewała.

Nie miała wykształcenia artystycznego, ale posiadała wysokie poczucie muzykalne, a głos jej, o niewielkiej skali, wybornie się nadawał do interpretacyi drobniejszych pio snek.

Zasiadła więc do fortepianu i wkrótce zabrzmiały w salonie słowa pieśni o pierścionku..

Na odgłos tych dźwięków Chopin zbladł. Marya spostrzegła odbijające się na jego twarzy wzruszenie...

Spytała go o powód.

Głosem cichym zwierzył się z doznanego w pierwszej swej miłości zawodu.

Oczy Maryi błysnęły płomieniem.

— I kochasz pan dotąd... tamtą? — spytała szybko.

Wstrząsnął głową.

—Doznany zawód zatarł miłość. Zapomniałem o potędze takiego uczucia, gdy oto — powstało nowe, potężniejsze...

Żywym rumieńcem zapłonęła twarz Maryi, a oczy obojga, spotkawszy się w długiem spojrzeniu, powiedziały więcej, niżby wypowiedzieć mogły całe słów potoki...

Odtąd widywali się niemal codziennie, to na spacerach, to w salonach wielkiego świata, którego oboje byli stałymi gośćmi. Uczucie coraz głębsze, coraz serdeczniejsze wiązało te dwie piękne dusze i zdawało się, że je zwiąże na zawsze..,

Nie było im jednak to sądzonem!...

Panna Marya radaby nigdy nie wyjeżdżać z tego Paryża, w którym serduszko jej zaznało po raz pierwszy co znaczy — miłość, z tego Paryża, którego bożyszczem salonów był jej ukochany — lecz okoliczności były silniejsze od tych pragnień dziewczęcych. Pani Wodzińska, wzywana przez męża, musiała wracać z córką do kraju,

Przyszła chwila smutnego rozstania. Młodzi obiecywali sobie niedługo się zobaczyć, lecz gdzie i kiedy?

— Sami nie wiedzieli.

Serca ich rwały się do siebie, ręce wiązały długim uściskiem, oczy pragnęły zbadać głębiny drugich oczu...

Wieczór był. W salonie, róże, stojące w wazonie, rozlewały zapach rozkoszny. Jedną z nich zerwała Marya i z niemem spojrzeniem, podała Fryderykowi.

Drżącą ręką schowawszy kwiat na piersi, on, który dźwiękami fortepianu najwymowniej wypowiadał co mu serce smutkiem, czy radością rozpierało, zasiadł przed klawiaturą i niebawem rozległa się nuta pięknego, rzewnego walca...

Marya z matką opuściły na drugi dzień Paryż, a Chłopin pozostał ze swą różą i ze swą tęsknotą za ukochaną...

Niestety, brak nam listów z tej epoki, mogących scharakteryzować ówczesny stan jego duszy, przypuszczać wszakże można, iż tęsknota była silna, skoro w następnym (1834) r. przerywa w lecie lekcye, opuszcza Paryż, jedzie do Marienbadu.

Tu spotyka ukochaną swą Maryę, bawiącą z matką w gronie znajomych.

Rozpoczynają się wycieczki w piękne okolice tych wód czeskich, w romantyczne ustronia górskie, gdzie zawsze znajdzie się kącik samotny, dla dwojga serc kochających, pragnących wspólnie, wśród poważnej piękności przyrody wypowiedzieć wszystko co dusza drugiego piastuje.

Musiała wreszcie przyjść ta chwila przełomowa, w której poeta tonów wypowiedział ukochanej swe pragnienia tajone, to szczęście, jakiegoby doznał, mogąc ją nazwać swą żoną...

Jakież więc uczucie musiało nim ogarnąć, skoro usłyszał odpowiedź przychylną i ujrzał swe najdroższe marzenia bliskiemi ziszczenia!...

Marya ubóstwiana została jego narzeczoną.

Dni szczęścia i marzeń o nowem szczęściu w przyszłości, mijały szybko za dniami...

Wkrótce potem panie wyjechały do Marienbadu, a Chopin towarzyszył im do Drezna.

W stolicy Saksonii parotygodniowy pobyt minął jak oka mgnienie.

Szczęśliwy, całą pełnią swej wrażliwej duszy, Chopin już z natury usposobiena żywego, tu był wesoły jak nigdy. Ten jego wesoły nastrój udzielał się całemu otoczeniu. Zabawa, śmiech, wesele, roztoczyły tak potężnie swe panowanie, że nawet rozstanie nie wydawało się ciężkiem, bo tylko chwilowem.

Zdawało się, że niewiedzący nic jeszcze o narzeczeństwie córki, bawiący w kraju, ojciec przychyli się do prośb małżonki swej i dziecka, że nie będzie stawiał przeszkód związkowi dwojga szczerze kochających się istot.

Niestety, nadzieje to były zwodnicze!...

O ciosie, który spotkał Chopina, mówi biograf jego, Maurycy Karasowski co następuje:

„Niedługo po powrocie do Paryża zaczęły dochodzić go głuche, niepomyślne dlań wieści z kraju; w połowie zaś 1837 r. Chopin otrzymał wiadomość, że Marya, jego uwielbiana narzeczona, ulegając rozkazom ojca, niechcącego nawet słyszeć o małżeństwie swej córki z muzykiem, musiała zerwać z nim wszelkie stosunki..."

I — dodamy od siebie — wyjść za kogo innego.

Cios to był okropny. Dalsze życie genialnego muzyka wykazuje dowodnie, że wstrząsnął on do głębi tak duchową, jak i fizyczną istotą jego ustroju.

A jeżeli prawdopodobnie nieraz smutna piosenka

Muzykantów zaproszono,
Na godach śpiewałem,
Innego zostałaś żoną
Ja zawsze kochałem.

wybiegła w przestrzeń ze strun fortepianu, to dalsza jej zwrotka

Dziś dziewczęta mnie wyśmiały,
Gorzko zapłakałem,
Próżnom wierny był i stały
Próżno pierścień brałem...

brzmieć musiała już nie rzewnem uczuciem pierwszej, goracej, lecz dającej się ukoić przez czas, miłości młodzieńca, lecz bólem strasznym miłości potężnej dojrzałego mężczyzny, któremu zawód podobny zawsze prędzej czy później grób kopie...

***) „Pierścień". Piosnka sielska Stefana Witwickiego. Muzyka Fr. Chopina. Warszawa. Gebethner i Wolff.

Czy następne, rozpaczliwe, rzucenie się w objęcia wielkiej powieściopisarki francuskiej — nie było dla Chopina takim grobem?...

Jun Barszczewski

Książki na gwiazdkę.

II.

Dla małych dzieci przybyło w roku bieżącym kilka wydawnictw.

P. Marya Weryho, dobrze znana wszystkim młodym czytelnikom, umiejąca opowiadać żywo i zajmująco, ogłosiła obecnie dwie nowe książeczki.

Jedna z nich, p. t. „W zimie“ (Warszawa. Gebethner i Wolff, ryciny St. Sawiczewskiego, str. 135 wyraźnym drukiem z interliniami), jest odpowiednikiem (*pendant*) względem dziełka wydanego w roku zeszłym p. t. „W lecie“. Mamy tutaj przedstawione głównie życie ptaków w zimie, oraz kilka innych powiastek, których akcya rozgrywa się w czasie śniegów i mrozów.

Obrazki, malujące nam sposób żywienia się ptasząt, niebezpieczeństwa, na jakie są narażone w poszukiwaniu pokarmu i ochrony od zimna, ujęła autorka w ramy opowiadania p. t. „Wybieg nowy.“ Sowa, zwoławszy ptaki na sejmik, wywołuje jednego po drugim i każe im szczegółowo przedstawiać sobie sposoby, jakich używają, by wyżyć wśród ogołoconych pól i lasów. Występują tedy po kolei: kuropatwa, sroka, dzięcioł, sójka, wrona, wróbel, cietrzew i głuszec i dają sprawozdania. Autorka umiała je zróżnicować; każdy z opowiadających ma właściwy sobie charakter i rodzaj mówienia: kuropatwa nieśmiała i wciąż na towarzyszki swoje się oglądająca, by stwierdziły jej słowa, — sroka gadatliwa i ustawicznie odstępująca od rozpoczętego wątku i t. d. W końcu spada jastrząb i choć to wielki rabuś — ostrzega ptaszęta, że sowa dlatego je wyciąga na słówka, by wiedzieć później, gdzie sobie szukać pożywienia.

Inne powiastki zawierają, prócz obrazków z życia zwierzęcego, drobne zdarzenia z życia ludzkiego, a mianowicie dziecinnego.

* *

Druga książeczka p. Maryi Weryho ma napis: „Opowiadania prawdziwe“, 56 powiastek dla dzieci od lat 6 do 10, z 20 ilustracyami T. Jaroszyńskiego“ (Petersburg K. Grendyszyński, str. 128). Zastanawia tu trochę oznaczenie lat dzieci, dla których książka została przeznaczona. Od lat 6? Czy to trochę nie zawcześnie! Wiem, że są dzieci umiejące czytać i czytające w wieku jeszcze młodszym, ale rzecz to pod względem pedagogicznym na pochwałę nie zasługująca. Niech dzieci mają czas przyglądania się rzeczom tego świata oczyma własnemi, a nie przez okulary autora; będzie to lepiej i dla ich zdrowia fizycznego i dla rozwoju ich umysłowości. Zbyt rychłe przypatrywanie się czarnym znaczkom w książce nie oddziaływa dobrze ani na oczy ani na ducha. Posuńmy tedy wiek dziecka samodzielnie czytającego choćby o dwa lata, a ponieważ p. Weryho swoją książeczkę zaleca i 10 letnim, więc nie uczyni się tem ujmy jej zamiarowi. I w „Opowiadaniach prawdziwych“, jak w ogóle w utworach naszej autorki, przemaga świat zwierzęcy: tchórz, sikora, wrona, skowronki, zające, króliki, wiewiórki i t. d., przewijają się przez te 16 powiastek, zaznajmiając nas ze swem życiem i przygodami. Jak Adolf Dygasiński w nowellach i powieściach dla starszych, tak p. Weryho w opowiadaniach dla dzieci wybrała sobie za specyalność świat zwierzęcy. Zna go widocznie dobrze, dużo widziała i dużo czytała o właściwościach tego świata. Czy wszędzie przedstawia rzeczy zgodnie z wiadomościami naukowemi, o tem przyrodnicy powinniby powiedzieć swe zdanie. Z pedagogicznego i literackiego punktu widzenia niewieleby jej obrazkom zarzucić można. Dawniejsze usterki i błędy, popełniane pod względem językowym i stylowym, zmniejszyły się znacznie, lubo nie znikły całkowicie. Dla przykładu zwrócę uwagę tylko na jeden frazes, wypowiedziany przez sowę do zgromadzonych ptaków: „Czyście źle w głowie podostawały?“ Widać sowa była trochę cudzoziemską; bo zwykłą formę „czy wam źle w głowie“ po swojemu a niefortunnie przerobiła.

* * *

Pp. S. Sempołowska i J. Unszlichtówna ułożyły „Zbiorek powiastek, opowiadań, wierszyków i ćwiczeń dla dzieci od lat 7 do 9 ciu“ (Warszawa, Gebethner i Wolff, str. 205, IV). Ma on służyć za pierwszą „czytankę“ po elementarzu i dać możność skupienia przy nauce języka zasobu tych wiadomości, jakich (prócz rachunków) dziecku udzielić należy w pierwszym roku nauczenia systematycznego. Autorki starały się o to, ażeby każda nieomal powiastka mogła stanowić punkt wyjścia do pogadanki etycznej, historycznej, lub przyrodniczej. W samej nauce języka dały wskazówki, jak należy ją prowadzić, jak stopniowo zaznajamiać z formami dramatycznemi, z zasadami pisowni i stylu. Ułożyły ustępy do czytania bardzo starannie, poczynając od zdań, zawierających tylko podmiot i orzeczenie, a kończąc na opowiadaniu allegorycznem w zdaniach zupełnie rozwiniętych.

Co do materyału, korzystały wiele z istniejących już w naszej literaturze pedagogicznej opracowań, dużo jednakże napisały same lub przerobiły z obcych utworów.

Urozmaicenie w „Zbiorze“ jest dosyć znaczne; widać, że się nie dały pociągnąć jakiejś jednostronnej tendencyi. Szkoda, że nie ustrzegły się kilku przykrych błędów językowych i stylowych, tem dotkliwszych, że się znajdują w książce, mającej uczyć języka i stylu.

Zaraz na str. 6 znajdujemy przepis wyrażony nieprawidłowo: „wyszukać *wyrazów, oznaczających* przedmiot lub osobę.“ Używamy dopełniacza po słowie *szukać, doszukać* się, ale gdy ten czasownik zjawia się w formie *wyszukać*, posługujemy się przy nim biernikiem (wyszukać *wyrazy*). W dalszym ciągu uniknęły autorki tego szkopułu, zmieniając wyrażenie (*wypisz wyrazy*).

Pod względem stylowym kilka jest ustępów niepoprawnie ułożonych. Przestrzegamy od dzieciństwa, by uczniowie unikali powtarzania tych samych wyrazów blizko siebie, a więc nie możemy im za wzór dawać takiego zdania (str. 39): koń ma zgrabny łeb, duże żywe oczy, na szyi gęstą grzywę, pierś ma szeroką.“

Łatwo było usunąć to drugie ma, przestawiwszy wyrazy w poprzedniej części zdania (gęstą grzywę na szyi). W opisie *„Lipy“* (str. 199) zbyt często spotykamy formy: *był, były* w jednym okresie. Nie można również uznać za wzorowy frazesu następnego: „Wojtuś, porządkując w gabinecie tatusia, *jak* machnął ręką, *tak* śliczna porcelanowa lampa spadła na biurko.“ Tutaj *tak* jest niepotrzebne zupełnie: lepiej też byłoby zamiast *jak* użyć spójnika *gdy*, bo chociaż w mowie potocznej używa się *jak* i w takiem znaczeniu, w języku literackim nie bardzo to uchodzi. Wreszcie stanowczo złem jest użycie spójnika *żeby* zamiast *gdyby*; w zdaniach warunkowych tylko ten drugi uważać można za poprawny, a więc nie należało pisać: „opowiedz, cobyś zrobiła *żebyś* była wróżką, (str. 205). Takie i tym podobne usterki wypadałoby poprawić na kartce osobnej i dołączyć ją do wydrukowanych egzemplarzy, zanim w drugiem wydaniu będzie je można, usunąć z tekstu.

W związku z tym „Zbiorem“ wymienić należy wypisy dla starszych dzieci, ułożone przez pp. Jadwigę Chrząszczewską i Jadwigę Warnkównę p. t. „Rok czytania“ (Warszawa. Maurycy Orgelbrandt, str. IV, 341). Książka ta składa się z artykułów podzielonych na 10 miesięcy nauki szkolnej, zaczynając od września, a kończąc na czerwcu. W każdym miesiącu znajduje się dobór urozmaicony opisów, opowiadań, wspomnień dziejowych, charakteryzujących przyrodę w danym okresie czasu, lub chronologicznie nań przypadających.

I tak np. we wrześniu, po wstępnej modlitwie za rodziców, mamy opis estetyczny września i wiersz o tym miesiącu, przedstawienie pasterstwa w Tatrach, wiadomość o grzybach i ustęp z „Pana Tadeusza“ o grzybobraniu, opowiadanie o odsieczy Wiednia we wrześniu r. 1863 i t. p. Ustępy wzięte są przeważnie z autorów nowszych; wybór po większej części jest trafny: przeplatanie prozy wierszami dokonane zostało umiejętnie.

Artykułów napisanych przez same pp. Chrząszczewską i Warnkównę jest kilka: dały się one już poznać ze swego talentu, a przeszłoroczne ich powieści dla młodzieży: „Słoneczko“ i „Młody grajek“ zyskały sobie rozgłos pochlebny.

W wydaniu „Roku“ zdałaby się była większa dbałość o korektę, a zwłaszcza o przestankowanie, które jest bardzo niestaranne. Na ostatniej kartce umieszczono „sprostowania“: są one dość liczne, a dotyczą głównie pisowni lub omyłek czysto drukarskich; tymczasem należałoby jeszcze dołączyć wykaz błędów językowych, np. niewłaściwego używania przysłówka *więcej* w zdaniach przeczących, gdzie albo go wcale nie potrzeba, albo należałoby go zastąpić wyrażeniami: *już, już nigdy* i t. p.

Nie wiem, dla czego autorki poprawiły *pędzel* na *pendzel*: jeżeli piszemy *ląd* przez *ą*, to nie widzę powodu, dla czegoby *Pinsel* nie miało się spolszczyć w sposób podobny?

W każdym razie, „Rok czytania“ należy do dobrych nabytków dydaktycznych.

P. Chmielowski.

TO I OWO.

Młodzież galicyjska.

Jeden z korespondentów „Przeglądu Wszechpolskiego“ tak charakteryzuje młodzież akademicką na uniwersytecie lwowskim i krakowskim:

„Skoro już o wychowaniu społecznem mowa, niech mi wolno będzie potrącić bodaj z lekka o temat drażliwy, który z tą kwestyą ściśle się wiąże. Mam na myśli produkt i wykwit społeczno-narodowego wychowania, dzisiejszą młodzież polską w Galicyi, a szczególnie ten jej odłam, który na ławach uniwersyteckich sposobi się do wzięcia czynnego za lat parę w publicznem i politycznem życiu udziału. Nazwałem temat drażliwym, bo o bezstronny i sprawiedliwy sąd w danej sprawie niezmiernie trudno. Sposób myślenia młodzieży, prądy, jakie w niej nurtują, ideały, które przyświecają zastępom młodego pokolenia, rokrocznie zasilającym się, wszystko to zasługuje raczej na poważne omówienie w obszernem studyum niż na pobieżną, kronikarską wzmiankę. Może też i galicyjska młodzież doczeka się kiedy podobnie wyczerpującej w P r z e g l ą d z i e rozprawy, jak „Młodzież polska

w zaborze rosyjskim". Nie przesądzając wszakże o niczem, pragnę dziś jeno zwrócić uwagę na fakt niewątpliwej różnicy, jaka co do ogólnego nastroju i dążeń młodzieży galicyjskiej zachodzi między dwoma głównemi ogniskami jej życia umysłowego: wrakowem i Lwowem. Podczas gdy lwowska rzesza obywateli akademickich od szeregu lat stale przy każdej sposobności objawia na ogół przekonania patryotyczno postępowe i przedstawia jakby jeden wielki obóz, pod znakiem demokratycznych haseł narodowych skupiony, — w Krakowie od dłuższego czasu panują stosunki nienormalne, atmosfera niezdrowa, rozbicie wśród młodzieży kompletne. Do tego dziś doszło niestety, że to, co przywykliśmy rozumieć pod nazwą młodzieży polskiej, ideałami Mickiewiczów natchnionej, w siedzibie Jagiellońskiej wszechnicy prawie wcale nie istnieje. Na Mickiewiczowskich obchodach, chlubna tradycya pełnych zapału, polotu i ognia przemówień młodzieńczych, zda się bezpowrotnie zaginęła, zastępuje ją obecnie — koncert c. k. muzyki wojskowej i suchy, często gęsto banalny wykład profesorski. Młodzież krakowska hołduje dziś tylko skrajnościom w dwóch kierunkach przeciwnych: goretsza jej część zaprząta sobie głowy abstrakcyami międzynarodówki i praktyczną agitacyą socyalizmu, druga, mniej gorąca przejmuje się wcześnie klerykalnym konserwatyzmem i trójlojalnemi zasadami Koźmianów. Wyjątki, stosunkowo nieliczne, reprezentujące żywioł zdrowszy, kryją się gdzieś i na ogół kolegów widocznego wpływu nie wywierają. Stan taki trudno nazwać pomyślnym, przyczyn zaś jego szukać trzeba niewątpliwie po obu stronach, choć bezwarunkowo przeważa wielka wina tych, którzy mając być z powołania wychowawcami i do pewnego stopnia opiekunami młodzieży, ani jej nie znają, ani postępować z nią nie umieją. Nie może być zresztą mowy o lepszych objawach tam, gdzie częstokroć zamiast istotnej nauki i bezstronnej wyrozumiałości zasiada na katedrach profesorskich polityczne zacietrzewienie i ciasny pogląd stronniczy..."

NA WYŁOMIE.

(Nekrologi.)

Gdy „Przegląd Poznański" do snu się układa, chciałbym się zapisać w pamięci kolegów moich dobrym uczynkiem i bratnią przysługą. Wy, moi najserdeczniejsi, kochaliście pismo nasze tak gorąco, że musiałbym mieć chyba duszę czarną jak smoła, by wam sprawiać ambaras smarowania nekrologów. Teraz po świętach, gdy na żołądku jakoś niewyraźnie, gdy w głowie kłóci się węgrzyn z szampanem, gdy wreszcie Sylwester za pasem i myśl o noworocznych rozkoszach słodkim was dreszczem przejmuje, ja nie mam po prostu serca zaprzątać pióra leniwe takim tam „Przeglądem Poznańskim." Oszczędzę wam zatem kłopotu i napiszę dla każdego z was osobny artykulik „żałobny" o zwinięciu pisma naszego. Raczcie go wyciąć nożycami i wprost po odebraniu numeru tego wysłać do drukarni. Przyznacie, że to prawdziwie koleżeńska przysługa. Oto nekrologi.

Dla „Dziennika Poznańskiego".

Dowiadujemy się, że z dniem 1 stycznia 1897 r. „Przegląd Poznański" zakończy istnienie swoje. Nie wierzyliśmy od samego początku, by pismo tego rodzaju mogło w naszem katolickiem społeczeństwie byt swój utrwalić. „Fałszywe ambicye" powołały do życia organ Młodej Polski i w nich to szukać należy przyczyny, że „Przegląd Poznański" zrobił sobie prawdziwe rzemiosło z „malowania na czarno" całego społeczeństwa i „obrzucania błotem" najwybitniejszych powag politycznych Księstwa, nie wyłączając szanownej osoby naszego redaktora. Niezdrowa była to strawa, którą organ „postępowo-demokratyczny" karmił publiczność, — tem niezdrowsza dla tego, że podawano ją „w formie ponętnych i lśniących frazesów". Stronnictwo „młodych" skompromitowało się rzetelnie w oczach trzeźwo myślącego społeczeństwa swoim dziecinnym protestem przeciw „polityce rozumu", zapoczątkowanej z niewątpliwym sukcesem przez posłów naszych, swoją świętokradzką walką z Kościołem i przeszczepianiem na poczciwy nasz grunt poznański, literackich prądów „zgniłego Zachodu".

„Przegląd Poznański" burzył tylko i drażnił niepotrzebnie, rozdzierał społeczeństwo, nadwerężając solidarność i — Boże zmiłuj się! — objawiał niedwuznaczne sympatye dla ruchu ludowego. Wprawdzie bankructwo tego organu libertynizmu i demagogii jest podobno tylko czasowem, lecz wyrażamy nadzieję, że nowy organ codzienny, jeżeli powstanie i tym samym służyć będzie ideałom, położy się również niebawem do grobu. „Z licznych stron" odbieramy wyrazy radości z powodu upadku organu burzycieli. Nie publikujemy ich jednak z obawy, aby nam nie przypominano anegdotki o lwie upadłym i ośle.

Dla „Kuryera Poznańskiego".

Godzina sądu wybiła. Po trzech latach rozpasanego żywota upadł „Przegląd Poznański" organ masonów wielkopolskich. Exiit, evasit, effugit, erupit. Dziękujmy Bogu, że skończyło się to bezprzykładne zgorszenie, które „co szabas" z łamów tego pisma płynęło na niwy wielkopolskie. Społeczeństwo nasze wyparło się ateuszów i heretyków, społeczeństwo nasze drzwi pokazało zuchwałym libertynom. Niech sobie idą do żydowskich bóżnic „rozmaici Sulle i Stromy", bo chrześciańskie społeczeństwo unikać ich będzie jak trądu. Wierzymy jednak w bezgraniczne miłosierdzie boskie i przypuszczamy, że uzdrowi ono „owce parszywe" i pozwoli się nawrócić odstępcom wiary i Kościoła.

Dla „Gońca Wielkopolskiego".

Nie jest naszym zwyczajem pisać o „Przeglądzie Poznańskim", bo „mamy ku temu ważne powody". Dziś jednak, gdy pismo to upadło, przyznajemy chętnie, że miało ono sporo dobrych tendencyi, ale na nieszczęście było w rękach człowieka bez wiary, bez moralności, bez talentu, — i to je zgubiło. Dla przestrogi społeczeństwa ogłaszamy konkurs na sylwetkę tego pana. Kto go osmaruje najlepiej, otrzyma w nagrodę trzy książeczki o treści patryotycznej.

Dla „Orędownika".

Smutną nowiną dzielimy się z czytelnikami naszymi. Z dniem pierwszego stycznia przestaje wychodzić dla braku funduszów „Przegląd Poznański", organ tej demokratycznej inteligencyi, która zdrowo zapatrywała się na stosunki zaboru pruskiego. Niestety upadek „Przeglądu" stanowi wyraźne świadectwo, że wśród inteligencyi poznańskiej polityka dworska poczyniła straszne spustoszenia. Powtarzamy raz jeszcze, że w obecnej chwili ruch ludowy liczyć tylko może na siebie, lecz wyrażamy równocześnie przekonanie, że ruch ten pójdzie o własnej sile dalej i dalej, uzdrawiając zgniłe stosunki prowincyi naszej i spełniając z lepszym skutkiem to same zadanie, któremu „Przegląd Poznański" służył przez trzy lata wiernie i uczciwie.

Dla „Wielkopolanina",

Z dniem 1 stycznia przestało tu wychodzić pismo tygodniowe p. t. „Przegląd Poznański". Nie jest to żadna strata dla społeczeństwa, bo organ ten przymilał się bezustannie „Orędownikowi", największemu z wszystkich wichrzycieli.

Dla „Postępu".

„Przegląd Poznański" donosi, że na „Nowy Rok" przestanie wychodzić. Było to niezłe pismo, tylko nie dość energicznie jechało na żydów.

Dla „Pracy".

Moglibyśmy tu przytoczyć zdanie Taine'a i osobistego naszego przyjaciela Henrysia Sienkiewicza o literackich dekadentach. Wolimy jednak bez długich wstępów zaznaczyć, że „Przegląd Poznański" żyć przestał. Czytelnicy wiedzą, że jesteśmy bardzo dowcipni i chętka nas bierze „przejechania się na naszem osiełku redakcyjnem" po grzbietach dekadentów, ale nauczeni uprzejmości „w petersburskich salonach", gdzie jedynie taktu nauczyć się można, nie chcemy zbankrutowanych kolegów obrzucać szampańską pianką naszego wytwornego dowcipu.

* * *

Oto nekrologi „Przeglądu", które polecam szanownym panom redaktorom przedrukować w łamach swych cennych czasopism. Starałem się o ile możności uwzględniać nietylko charakter lecz i styl poszczególnych organów, dobierając nawet gdzieniegdzie ich ulubionych zwrotów i frazesów. Honoraryum żadnego nie żądam. Wyrażam tylko nadzieję, że za tę ostatnią przysługę przebaczą mi choć cząstkę moich grzechów śmiertelnych.

Cicho!

Ktoś puka do drzwi. To ty garstko duchów płomiennych, która w złych i dobrych chwilach nie skąpiłaś mi rady i serca. Tak stańcie przy mnie i gdy zgraja kretów i puszczyków piszczy z radości nad zwinięciem sztandaru naszego, nam jak hymn wielki brzmią słowa poety:

„A teraz rzućcie, gdy chcecie, kamieniem!
Ale zaprawdę! jeżeli ja wzruszę
Pieśnią choć jedną zakrzepłą w lód duszę,
Jeżli choć jedną łzę bratnią osuszę...
Kamień — u nóg mych upadnie ze drżeniem".

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** W pierwsze święto powtórzono na scenie naszej sztukę ludową Sewera p. t. „Dla świętej ziemi". W zastępstwie panny Tańskiej objęła rolę Hanusi panna Andrau i wywiązała się z zadania swego wręcz z niespodziewanem powodzeniem. Ruchy, dykcya i koloryt roli złożyły całość doskonałą i zjednały artystce burzę oklasków. — Słynny utwór Hauptmanna p. t. „Przed wschodem słońca" doznał w teatrze medyolańskim Manzoniego chłodnego przyjęcia. — Dowiadujemy się, że dyrekcya teatru poznańskiego zaangażowała panią Gabryelę Zapolską na szereg gościnnych występów. — Młodziutkiego kompozytora Gustawa Brecher, ucznia gimnazyum lipskiego, utwór symfoniczny „Rosmersholm" (według dramatu Ibsena), grany na koncercie, wywołał podziw prawdziwy.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **Czytelnik.** Obstajemy stanowczo przy wszystkich twierdzeniach. Informacye nasze płyną z źródeł autentyczniejszych, niż się panom dygnitarzom „ładu i porządku" wydaje.

— **Gr.** Drugi nakład wiadomej odbitki ukaże się niebawem. Za słowa uznania dziękujemy serdecznie.

— **S. w Bytomiu.** Opóźnienie nastąpiło z powodu świąt. W poniedziałek rano wysłaliśmy dziesięć egzemplarzy ostatniego numeru.

— **B. B. w Gnieźnie** Dzięki za serdeczne słowo i za wiadomości o powodzeniu wiadomego artykułu.